

Dom im. św. Alberta Hurtado
Aneta Płócieniak, Chile
Styczeń 2025

Drodzy Przyjaciele i Darczyńcy,

Niedawno, 14 grudnia, obchodziłam dokładnie rok od przyjazdu. Na podsumowania jeszcze przyjdzie czas, jednakże już teraz mogę odpowiedzieć na coraz częstsze pytania, kiedy wracam. Otóż postanowiłam przedłużyć misję o miesiąc, planując powrót na koniec marca.

Boże Narodzenie

Są to już drugie święta, które spędziłam tutaj. W trakcie pierwszych było dużo ekscytacji, wszystko było nowe, nie było nawet przestrzeni, żeby móc zatęsknić za domem. Myśl o tegorocznych świętach okazała się trudniejsza. Pojawiło się pytanie, jak mam odnaleźć radość w mojej rzeczywistości, w której nie czuć tego „klimatu świątecznego”. Bez rodziny i przyjaciół. Ponadto, bez tradycji, do których byłam tak przywiązana, nie ma rorat i pasterki, nie ma jarmarków świątecznych, nie ma tego charakterystycznego zapachu świerku i wielu, wielu innych rzeczy, za którymi po ludzku tęsknię. Także kiedy we wspólnocie pojawił się wątek planowania świąt, wcale nie budziło to mojego entuzjazmu.

Miałam jednak świadomość, że Boże Narodzenie to przede wszystkim ponowne narodziny Boga w zakamarkach największej ciemności, gdzie panuje tęsknota, niezrozumienie, bieda, choroby i wszystko to, co nas obciąża na co dzień. Każdy z nas nosi w sobie jakiś żłobek, z którym się zmagam. Tego dnia Bóg rodzi się na nowo, żeby dać nam światło i nadzieję w naszych zmaganiach. Swoim narodzeniem chce nam powiedzieć, że nie wszystko stracone, że można się podnieść i spróbować jeszcze raz. Możemy spróbować razem z Nim narodzić się na nowo. Ja spróbowałam. I były to jedne z najpiękniejszych świąt, jakich doświadczyłam.

Czas przygotowań świątecznych na przestrzeni kilku dni spędziliśmy z dziećmi. Najpierw z Carlito udaliśmy się w poszukiwaniu gałęzi na wieniec adwentowy. Carlito to 10-letni chłopiec, który został adoptowany przez parę dziadków. Jego ojciec nie żyje, matka go porzuciła. Co smutniejsze, również jego adoptowana babcia zmarła 3 lata temu, dlatego żyje wyłącznie ze swoim dziadkiem. Po szkole nie ma żadnych aktywności, nie ma znajomych. Wraca ze szkoły i gra, żyje w swoim zamkniętym świecie, nikt nie poświęca mu czasu. Kiedy zaproponowaliśmy wspólne wyjście, momentalnie zmieniła się jego twarz. Pojawił się uśmiech. I ten uśmiech nie schodził z jego twarzy przez cały czas, który spędziliśmy razem. Potrzebował



jedynie odrobiny uwagi. Z Walentiną ozdabiałam choinkę w naszym domu, z Wilsonem i Nico lepiłmy pierogi, z Elzą robiłam pierniczki, z kolei z Nino, Scarlett, Kriszną i Cristianem następnie je dekorowaliśmy, mieliśmy także warsztaty z ozdób świątecznych. Z kolei Bogdan i Matthias zorganizowali „męski wypad” z chłopcami na plażę.



Señora Ana

Wigilię spędziliśmy z Señorą Aną. Jest to 85-letnia wdowa, która mieszka sama. Pewnego dnia jedliśmy z nią obiad. Przynieśliśmy jedzenie do jej domu, ponieważ nie mogła wychodzić z powodów zdrowotnych. W trakcie kolejnej wizyty Señora Ana powróciła do tego spotkania. Powiedziała, że był to jej najszczęśliwszy dzień od 3 lat, kiedy zmarł jej mąż, ponieważ byliśmy z nią obecni, poświęciliśmy jej uwagę. Powiedziała, że kiedy przychodziła jej rodzina, tylko szybko jadła i wychodziła. Nie poświęcali jej czasu. Nasze spotkanie trwało prawie całe popołudnie. Señora Ana to prawdziwa osobowość. Uwielbia opowiadać, ma niesamowity życiorys. Dodam tylko, że miała 22 rodzeństwa (ta sama mama, przy czym niektóre ciąży były bliźniacze), z czego teraz żyje tylko 8. Sama straciła dwójkę dzieci. Zawsze, kiedy na mnie patrzy, mówi, że przypominam jej zmarłą na raka córkę Marisol, bo też miała niebieskie oczy. Wiedzieliśmy, że musimy ją zaprosić na święta. Zasiadliśmy z nią do wigilijnego stołu, jak również do świątecznego obiadu 25 grudnia. Wzruszała się wielokrotnie, mówiąc, że są to pierwsze święta, które celebruje od śmierci męża.



Don Gimi

Postanowiliśmy również nauczyć się kolęd, które co prawda nie mają głębokiego przesłania, jednakże mieliśmy plan, żeby z instrumentami i śpiewem odwiedzać naszą dzielnicę. I tak, między innymi, znaleźliśmy się w domu naszego przyjaciela Don Gimiego. To artysta. W swoim domu ma wiele rękodzieł z drewna, budował również budynek parlamentu w Valparaiso. Mieszka sam, porusza się na wózku. Jak mówi, kiedyś był ważną i poważaną

osobą, dziś wszyscy już o nim zapomnieli, a on sam nie może sobie poradzić ze swoją samotnością i odrzuceniem. Zawsze ze zgorzknieniem i smutkiem opowiadał, że miał tyle, a teraz stracił wszystko. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło w jego życiu; mówił tylko, że jego dzieci go nienawidzą. Kiedy więc 24 grudnia zapukaliśmy do jego drzwi, o dziwo otworzyła pewna kobieta. Raquela okazała się jego żoną, która wróciła na czas świąt. Oprócz niej jedno z dzieci i wnuk. Don Gimi był zupełnie inną osobą, uśmiechnięty, laską wybijający rytm kolędy, którą śpiewaliśmy. W tę wigilijną noc nie był sam.



25 grudnia przygotowaliśmy obiad dla wszystkich naszych samotnych przyjaciół z dzielnicy, z których większość stanowiły osoby starsze. Byli niewyobrażalnie szczęśliwi i wdzięczni za możliwość wspólnego spędzania czasu. Czuli się u nas swobodnie, jak w swoim domu. Również my nie byliśmy zestresowani ugoszczeniem tak wielu osób, bo przyjmowaliśmy ich jak członków naszej rodziny jako naszych najbliższych przyjaciół. Poruszyło mnie, jak bardzo byli na siebie czuli i uważni, chociażby Señora Ana, która pomagała jeść niewidomemu Don Luisowi. Ten obiad ukazał prawdziwą istotę Świąt Bożego Narodzenia, która nie ma nic wspólnego z rzeczami materialnymi, lecz z ludzkim ciepłem, wspólnym śmiechem i więzami, które nas łączą.





Benjamin

Od wielu już lat jestem zafascynowana twórczością Thomasa Mertona, XX-wiecznego amerykańskiego trapisty. Książki tego mnicha są oazą dla duszy, pomagają rozwikłać wiele egzystencjalnych pytań, pisze o poszukiwaniu wiary i pokoju, z wnikliwością objaśnia zasady kontemplacji. Przez to zawsze pragnęłam lepiej poznać ten klasztor. W Polsce nie ma żadnego, w Chile są dwa: męski w Rancagua oraz żeński w Quilvo. Trapiści to gałąź zakonu cystersów, którzy żyją w oparciu o jedną z najbardziej surowych reguł zakonnych w Kościele katolickim. Modlą się siedem razy w ciągu dnia, z czego pierwsza modlitwa zaczyna się o 3:30 rano. Ponadto postują, większość dnia spędzają w milczeniu, pracują fizycznie na terenie klasztoru, ponieważ go nie opuszczają.

Niezmiernie mnie to fascynuje. Postawa mnichów, którzy porzucają całe swoje życie, swoją wygodę, aby swoją postawą pokazać, że to, co istotne, jest poza nami, poza ziemskim życiem. Benjamin ma 38 lat. Jest byłym wolontariuszem stowarzyszenia *Puntos Corazón* w Chile. Najpierw był na misji w Peru, następnie w Senegal. Afryka okazała się dla niego sporym wyzwaniem. Głośno, intensywnie – nie było to zgodne z jego spokojną naturą. Usłyszał radę, aby udać się do klasztoru, spróbować się wyciszyć, nabrać nowego spojrzenia. I tak odkrył zakon trapistów, w którym odnalazł swoje powołanie.

W listopadzie odbywały się jego święcenia kapłańskie. Pierwszy raz uczestniczyłam w takiej uroczystości. Wyczuwało się intymność tego wydarzenia, mimo tłumów uczestniczących we mszy. Ujął mnie widok rodziców Laury i Filipa, których znałam już od dawna. Byli wzruszeni i jednocześnie tak bardzo dumni. Wiedzieli, że „nie tracą” syna, tylko uczestniczą w jego zaślubinach z Bogiem. Jeszcze bardziej ujmująca była postawa Benjamin – tak bardzo pokorny, wydawał się zawstydzony całym tym spędem, a równocześnie z niezwykłym uśmiechem, który mówił jedno: jestem szczęśliwy, jestem we właściwym miejscu. Jak mówi:

„Choć żyjemy w czasach kryzysu niepewności, mamy pewność nieskończonej miłości, która nas podtrzymuje. Wiara nie izoluje nas od problemów świata, ale daje nam siłę, by stawić im czoła z ufnością w Boga, żyjąc z nogami mocno stąpającymi po ziemi, ale z sercem zakotwiczonym w nadziei wiecznej.”

Don Migel i Señora Clotilde

Małżeństwo z 58-letnim stażem. Kochają się, a jednocześnie dokuczają sobie niczym nastolatkom. Trudno jest się nie powstrzymać od śmiechu, słuchając ich konwersacji. Mieszkają sami, mimo że Don Miguel jest niewidomy, a Señora Clotilde bardzo schorowana. Traktują nas jak swoich wnuków, bywają momenty, że dzwonią codziennie i to kilkakrotnie, bo jak mówią, jesteśmy dla nich jak rodzina. Zawsze, kiedy przychodzimy, Don Miguel proponuje grę w *ranę* (żabę). Zabawa polega na wrzuceniu krążków w odpowiednie otwory w dużej stojącej skrzynce, jednakże kiedy uda się wrzucić krążek w usta żaby, zdobywa się najwięcej punktów. Mimo problemów ze wzrokiem Don Miguel przeważnie wygrywa; naprawdę nie wiemy, jak to robi. Poza tym jest mistrzem ciętej riposty, potrafi żartować z każdej, nawet najmniejszej rzeczy. Zawsze zapomina moje imię, dlatego nazywa mnie Reineta – identycznie jak najbardziej powszechną rybę w Chile. Ostatnio Don Miguel poprosił o towarzyszenie mu w trakcie wizyty u dentysty. Wcześniej odwoływał wizyty, ponieważ nie był w stanie sam dojechać. Był tak niesamowicie wdzięczny za tak niewielką przysługę. Z kolei z Señora Clotildą przeważnie rozmawiamy w jej łóżku, ponieważ nie ma siły wstać. W relacji z nimi ujmuję mnie to, że traktują nas jak swoich wnuków, mają tyle czułości w stosunku do nas. Po prostu jesteśmy. Dla nas to niewiele, dla nich jest to ocalenie od ich codziennej samotności.





To by było na tyle. Dziękuję Wam, że jesteście. Czytacie ten list już w 2025 roku, więc korzystając z okazji, życzę Wam, żeby obfitował on w piękne relacje oraz żebyście czerpali radość z Waszego codziennego życia.

Aneta